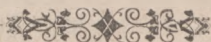


WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.



Wiosenka - dziewczka.

WIOSENKA-DZIEWECZKA.

Ej, wiosenko, ty dziewczeczko,
Z pękiem kwiatów w dłoni,
Jużes od nas niedaleczko,
A lato cię goni.

Ty uśmiechasz się radośnie,
Jak różyczka polna,
Jak przystoi młodej wiosnie,
Żwawa i swawolna.

Lecz czy wiesz ty, swawolniczko,
Że przekwitną kwiaty,
Spowaźniej młode liczko,
Niedługimi laty.

A gdy wiosna żwawa minie,
I kwiat krasnolicy,
Každy zdziwi się dziewczynie,
Pustěj swawolnicy.

Tylko ta, co cnót ziarneczka,
Zbierała w swěj wiosnie,
Taka latem się dziewczeczka
Rozśmiej radośnie.

M...a.

Niesprawiedliwość Jani.

KOMEDYJKA W 1-nym AKCIE.

OSOBY.

PAN BIELIŃSKI
JANINA lat 19 } jego córki.
HELKA lat 11 }
KAZIA lat 8 }
LUDWIKOWA służąca.

SCENA I.

(*Obszerny pokój dziecinny w dworku pana Bielińskiego; przy stole założonym książkami i kajetami w mieladnie siedzą Helka i Kazia; pierwsza wspartu na łokciach patrzy do góry i buja się na krześle, drugą pilnie na pamięć się uczy.*)

KAZIA.

Patrz, Helciu! Już prawie umiem bajeczkę, jeszcze tylko cztery maleńkie wierszyki... I to prędko pójdzie, jak będę uważnie czytała.

HELKA (*nadąsana*).

Spodziewam się, że prędko umiec będziesz! Takie A B C, jak dla trzyletnich dzieci; już to Jania zawsze ci musi wybrać coś najłatwiejszego. A dla mnie! niech Bóg broni, jakie trudne! aż głowa boli od samego słuchania... Tobie daje tylko jedno zadanie, a mnie i wiersze, i historiją, i przepisywanie. Piękna sprawiedliwość!

KAZIA.

Te, Helciu! wstydz się! Jania taka dobra dla nas!

HELKA.

O! dla ciebie, zapewne!

SCENA II.

TEŻ SAME. JANINA.

JANINA.

Cóż tu, moje dziewczątka, u was słyhać? Jak idą lekcye na jutro? Czy Helka staranniej przepisała zadanie?

HELKA.

Jeszcze nie.

KAZIA.

Bajeczki już się nauczyłam, Janinko! Może kaligrafii trochę...

JANINA.

Nie, kochaneczko; na dziś masz dosyć. Idź pobiegać po ogrodzie i wróć z rumianą buzią, bo mi coś bladeo dziś wyglądasz. A ty, Helciu, jak tylko skończysz zadania, możesz się też z Kazią pobawić.

(*wychodzi z Kazią*).

SCENA III.

HELKA SAMA. POTÉM LUDWIKOWA.

HELKA.

Jak tylko skończę zadania! ślicznie dziękuję... A dla czego ją już teraz zwolniła?... Przykładna siostra, niema co mówić! Sprawiedliwa!... z jedną to tylko: Kazieczko! Kaziutku! kochaneczko, idź się pobawić a ja to: Helka, do lekcyi! Naumyślnie nic nie zrobię! Naumyślnie! (*buja się gwałtownie na krześle*).

LUDWIKOWA (*wchodząc*).

A cóż to panienka tak sama siedzi i męczy się nad książką? słońce tak pięknie świeci! Wartoby się przelecieć po ogrodzie.

HELKA.

A pewnie, że wartoby! To też Janina wysłała czempredź Kazię, ale ja muszę siedzieć w pokoju i pisać...

LUDWIKOWA.

Mój Boże! Biedna paniusia! A fe! To wcale nieładnie, że panna Janina tak paniusią ponieważ żeby to nasza nieboszczka pani widziała! Ale biedactwo sierota... nikt tego nie obroni!

HELKA (*placząc*).

Moja Ludwikowa! powiedzcie sami, czy to słusnie: ona ciągle tylko Kazię pieści i psuje, a mnie do nauki zapędza! Rano ja muszę wstawać o siódmiej, a Kaziunia niech sobie poleży jeszcze, bo ona taka delikatna... I to tak ze wszystkim!

LUDWIKOWA.

Jabym się na panienki miejscu nie dała tak poniewierać! jak Boga kocham!

HELKA.

Ja się też nie dam, moja droga! Nic robić nie będę! Nie będę się uczyła! Przed ojcem się poskarżę... Będzie ona miała za swoje! Macie, moja Ludwikowo, jabłko z podwieczorku! Weźcie...

LUDWIKOWA.

Pokornie panience dziękuję! *(całuje ją w ramię)*. A też to istny aniołek z tój paniusi... Trzeba nie mieć serca za grosz, żeby to poniewierać!... Zdaje się, że pan idzie! Trzeba mi iść do roboty...

SCENA IV.

PAN BIELIŃSKI. HELKA

P. BIELIŃSKI *(uchylając drzwi)*.

Proszę cię, Janiu... ach! to ty, Hela! gdzież Janina?

HELKA *(ponuro)*.

Proszę tatki, pewno poszła z Kazią do ogrodu.

P. BIELIŃSKI.

Co widzę! Helka zapłakana... cóż się stało?

HELKA.

Proszę taty... Jania taka niedobra... tak się ze mną źle obchodzi... Nie daje mi wyjść do ogrodu... tylko tu muszę sama siedzieć i ciągle uczyć się... *(placze)*.

P. BIELIŃSKI

Pewnieś na to zasłużyła, moje dziecko.

HELKA.

Ona zawsze taka, proszę taty...

P. BIELIŃSKI.

No, no, nie płacz! Już to się da załatwić *(na stronie)*. Pomówię z Janią *(wychodzi i w progu spotyka się z Janiną)*. Czy masz chwilę czasu, Janinko? Chciałbym z tobą słówko pomówić.

HELKA *(na stronie)*.

Dostanie ona teraz za swoje! Już jej się odechce dokuczać mi! *(odchodzi)*.

SCENA V.

P. BIELIŃSKI, JANINA

P. BIELIŃSKI.

Moja Janiu, co to zaszło z Helką? Dla czego nie biega z Kazią po ogrodzie?

JANINA.

Miała maleńką stronicę do przepisania i nad tēm już tak długo siedzi... Mogłaby się już od pół godziny bawić swobodnie, gdyby się szczerze wzięła do pracy.

P. BIELIŃSKI.

Wiesz, Janeczko, że Hela skarży się na twoje

surowość dla niej i zbytne pobłażanie dla Kazi... Jak ci się zdaje, czy nie mogłabyś łagodniej z nią postępować? Przykroby mi było, gdybym musiał widzieć zazdrość pomiędzy memi dziećmi. Od jakiegoś czasu Hela jest jakaś kwaśna, niecierpliwa, w ciągłych buntach...

JANINA *(łagodnie lecz stanowczo)*.

Ojczulku, czy masz zaufanie do mnie? Czy wierzysz, że obie me siostrzyczki kocham gorąco i chciałabym je na wzorowe, a także i na szczęśliwe kobiety wykierować?

P. BIELIŃSKI *(obejmując ją czule)*.

Tak, moja córko! Na chwilę o tēm nie wątpię. Wszakżeś ty im matkę zastąpiła w chwili, kiedyś jeszcze sama macierzyńskiej opieki i troskliwej pomocy potrzebowała!

JANINA.

To było moim świętym obowiązkiem, ojczulku, bądź przekonany, że i nadal go sumiennie wypełnię. Znam usposobienie moich siostrzyczek na wskroś: Kazia jest łagodne, potulne dziewczątko, a nadto jest słabego zdrowia; trzeba ją oszczędzać. Helka, chociaż nadzwyczaj żywa, ma jednak złote serduszek! Zobaczysz, drogi ojczu, że ona niezadługo wszystko to pojmie, a o buntach i kwasach mowy nie będzie. Spuść się na mnie, ojczulku!

P. BIELIŃSKI *(patrzając na nią rozrzuwiony, na stronie)*.

Nie miałbym się na nią spuścić! Na tego anioła opiekuńczego mego domu! *(odchodzi)*.

SCENA VI.

JANINA, HELKA.

HELKA *(wchodząc mówi do siebie)*.

Żeby tu miała siedzieć do wieczora, nie napiszę!

JANINA *(łagodnie)*.

Cóż to, Helciu? Jeszcze nie przepisałaś tēj kartki! Nie zaczęte nawet! Moje dziecko drogie, przecież niepodobna, żebyś tu cały dzień siedziała...

HELKA *(przerywając jej gwałtownie)*.

A co ci to może szkodzić?! Ciekawam doprawdy! Wszak twoja faworytka jest wolna!... *(Janina siada zwolna na fotelu i zastania warz rękoma, podczas gdy Helka dalej siedzi podparta i ponuro patrzy przed siebie)*.

HELKA *(po chwili na stronie)*.

To dziwne! myślałam, że ją porządnie rozgniewam, a ona ani słowa nie odrzekła... Tak spokojnie siedzi. A dla czego tak twarz rękoma zakrywa?...

(znów chwila milczenia—Helka upuszcza książkę).

JANINA (*podnosząc zwolna oczy zapłakane*).

Helciu! Możesz iść się bawić z Kazią w ogrodzie.

(*Helka wstaje po chwili wahania i powoli składa książki i papiery*).

JANINA (*bardzo cicho i łagodnie*).

Idź, Heleniu... idź się bawić! (znow twarz zastania).

(*Helka staje za fotelem i zlekka ręce jej ujmuje*).

HELKA.

Janeczko! wybacz... zmartwiłam cię!

JANINA (*przytulając ją do siebie z cichym płaczem*).

Moja siostrzyczko droga! Jakżeś mogła posądzać mnie o taką niesprawiedliwość?! Wszak ja was obie kocham jednakowo z całego serca...

HELKA (*kryjąc głowę na jej ramieniu*).

Wybacz, wybacz, droga, kochana Janinko! (*ścisnąc ją i całuje*). Ja jestem taki niezdolny, grymaśny dzieciak, a tyś taka cierpliwa i łagodna! Zasługuję na karę, a ty mnie pieścisz i całujesz!

JANINA.

Bo wiem, że moja Helunia już odtąd zawsze będzie dobra i pilna, i wierzyć będzie, iż wszystko, co jej starsza siostra mówi, to dla jej dobra! Prawda, kochanko?

HELKA.

O tak, droga Janeczko! zobaczysz...

JANINA (*głaszcząc jej włosy*).

I już nigdy nie będzie Helunia zazdrosna, jeżeli będę mniej wymagająca dla Kazi? Widzisz, drogie dziecko, Kazia jest jeszcze mała, o tyle młodsza od ciebie! Przypomnij sobie, jak często niezdrowa; dopiero co przechodziła tak ciężką chorobę. Spójrz w lustro na swoją rumianą buzię i na jej bladą twarzyczkę, i powiedz sama, czy niesłusznie robię, gdy tobie, starszej i silniejszej, trochę więcej do nauki zadaję? Powinnaś sama na nią uważać i doglądać młodszej siostrzyczki, aby jej na niczym nie zbywało... powinnaś dbać o jej zdrowie i wygodę, a ty jej zazdrościsz półgodzinki snu, na którą jej z rana pozwałam!

HELKA (*zawstydzona*).

O Janinko! nie przypominaj mi tego, bo to wstyd okropny... Zobaczysz, jaka ja teraz będę... jak się będę nią opiekowała!

JANINA.

Ja wiedziałam, że moja Helcia jest bardzo dobrą dziewczynką! To była tylko chwila zapomnienia, to się już nigdy nie zdarzy! A teraz, kochanie, obetrzyj oczki i uśmiechnij się do twój niesprawiedliwej siostry... Ot tak! (*przyciskając ją do serca i całując kilkakrotnie*).

HELKA.

Teraz usiądę i przedziutko przepiszę zadanie; aż się zdziwisz, Janeczko, jak prędko!

JANINA.

Nie, Helciu, zostaw to na jutro. Idź teraz pobiegać, a bądź mi wesołą, pamiętaj!

SCENA VII.

TEŻ SAME. KAZIA.

KAZIA (*wbiega radośnie*).

Mam go! Mam nareszcie! Jaki piękny motyl! Ale co się też za nim nabiegałam!...

HELKA.

Prawda, że prześliczny. Ale, Kazieczko, (*z lekka przesuwając rączką po czole Kazi*), jesteś bardzo zgrzana, jeszcze mogłabyś się zaziębić. Jak teraz razem wyjdziemy do ogrodu, to okryjesz się płaszczkiem... Niech cię Ludwikowa ubierze. (*Kazia wybiega*).

JANINA (*patrząc z rozczuleniem na Helę*).

Teraz jestem dumna z mojej kochanej Heluni.

HELKA.

Będziesz nią odtąd zawsze, siostrzyczko!

Z. B.

PAMIĘTNE CHWILE.

Dzień 2 Maja 1669 r. Długo namysłali się Polacy, komu by oddaną im w ręce przez Jana Kazimierza koronę ofiarować. Przez kilka miesięcy zjeżdżali na sejmy, radząc, rozprawiając wciąż o jednym. Różni kandydaci się przedstawiali: Filip Wilhelm, książę Neuburgski, Karol książę Lotaryński, Kondeusz, książę francuzki, liczyli każdy wielu stronników, mianowicie ostatni, to jest Kondeusz. Popierał go silnie hetman Sobieski i prymas Prażmowski.

Dnia 2 Maja roku 1669 we wsi Wólce zebrał się wreszcie sejm elekcyjny, miano tutaj ostatecznie wybór postanowić. Kolejno odzywały się głosy, to za jednym, to za drugim lub trzecim z kandydatów, trudno wszakże było jeszcze zgadnąć, który z nich zwycięży, gdy wtém ktoś wykrzyknął: „Wybieramy Piasta“! i wnet kilkadziesiąt głosów powtórzyło „Wybieramy Piasta“, a ktoś dodał: „Michała Wiśniowieckiego“!

Michał Wiśniowiecki był to ubogi książę, niczem jeszcze w życiu się nie odznaczył, lecz był on synem Jeremiego Wiśniowieckiego, dzielnego rycerza, który za czasów Jana Kazimierza nie jednę ranę otrzymał w obronie kraju, który walczył mężnie ze zbuntowanym kozactwem, krwi i mienia nie żałował dla ratowania ginącej ojczyzny, życie i majątek dla niej stracił. Wybór się podobał ogólnie, zebrani panowie i szlachta przypomnieli

sobie w tej chwili zasługi księcia Jeremiego, zapomnieli i to, że dotychczas naród mu niczém nie odpłacił za to, co on uczynił dla kraju i postanowili synowi odplacić.

„Michała Wiśniowieckiego chcemy mieć królem!“ krzyknęło znów kilku, a z temi głosami wnet więcej się złączyło; próżno hetman Sobieski starał się nakłonić innych na stronę Kondeusza, próżno odradzał Wiśniowieckiego, coraz więcej szlachty przechodziło na stronę Piasta, nareszcie całe koło jednym głosem krzyknęło: „Niech żyje król Michał!“

Szczupła liczba przeciwników ustąpić musiała, panowie wsiedli do kolas i do Warszawy podążyli, oznajmić wybranemu księciu o zaszczycie, jaki go spotkał, a potem pośpieszyć do katedry, gdzie odśpiewać miano „Te deum“. Podobno, kiedy Andrzej Olszewski, podkanclerzy koronny, i Stanisław Krzycki, podkomorzy kaliski, weszli do mieszkania księcia Michała i oświadczyli mu, że królem wybrany został, wznosił on oczy w górę i rzekł:

„Niech odejdzie odemnie ten kielich“. Czuł on ważność obowiązków, jakie nań włożyć chciano, czuł i to, że do tak ważnych obowiązków dostatecznych zdolności niema. Ale panowie nalegali koniecznie, by przyjął koronę, więc Michał uległ wkońcu. Dnia 29 Września odbyła się w Warszawie w kościele katedralnym koronacja Michała Korybuta Wiśniowieckiego; ubogi dnia poprzedniego książę, w dzień koronacji był już bogatym, tak hojne dary przysłali mu panowie, jedni w klejnotach, inni w złocie lub srebrze. Ale korona, którą ustroił czoło syn Jeremiego, szczęścia mimo to mu nie dała, słusznie się jej złąkł młody książę, ciernistą ona była, dużo cierpień mu przyniosła.

Teresa Jadwiga.

BRANIEC TATARSKI,

opowiadanie na tle historycznym osnute,

przez Maryą Świdorską.

(Dalszy ciąg.)

Tak doszliśmy do namiotu, który musiał być mieszkaniem Kubalima, bo tam na łożu z koców i skór owczych wysłaném ułożył mego Staszka. Potem z jakiejś misternie srebrem wykładanej skrzynki dobył kryształowej fłaszeczki i nalał z niej kilka kropel na spalone usteczka biednego męczennika. Po chwili braciszek mój spał, spokojnie oddychając, a Kubalim mnie zaczął wypytwać, co się z nami działo w tym lochu; czy dłu-

go tam siedzieliśmy, cośmy jedli i t. d. Śród tego napoił mnie mlekiem świeżem, które się wydawało doskonałem, jakby czarodziejski napój i dał placek owsiany z kawałkiem mięsa baraniego.

Potem wyszedł nasz opiekun, ale wkrótce powrócił do namiotu i właśnie kiedy Staszek oczy otwierał ze snu, ujrzał go siedzącego na łożu, u nóg. Czy braciszek mój miał widzenie gorączkowe, czy mu przywykłem przez dni tyle do ciemności, światło dzienne tak było olśniewajacém, nie wiem, ale wyciągnął wychudłe ręce i szepnął:

— Ojczy, ojczy... chodź do mnie.

Patrzę, aż tu Kubalimowi dwie łzy toczą się po twarzy, wreszcie pochylił się i tuląc w objęciu Staszka, szepnął:

— Śpij, dziecko, śpij — i to, o dziwo! po polsku.

Zdumiony, patrzyłem na niego, nie śmiejąc i słowa przemówić; zdawało mi się, że to sen, czy majak gorączkowy. On widząc moje zdumienie położył palec na ustach i rzekł:

— Cicho, nie mówić... i ja z Polski... kiedyś... dawno temu... biedne dzieci!...

Później dowiedziałem się, że ów Kubalim był kiedyś szlachcicem...

— I cóż u licha tak się zbisurmanił? — przerwiał pan Gozdawa.

— Zdaje się, że w ojczyźnie ciężko był pokrzywdzonym przez któregoś z panów, wówczas dokazujących, bodaj czy nie przez samego Głińskiego, co to za czasów króla Aleksandra nikogo się nie obawiał i o nic nie dbał. Jak to tam było, nigdy się dokładnie dowiedzieć nie mogłem, bo Kubalim o tém mówić nie lubił, dość, że zabiwszy podobno kilku dworzan Głińskiego, ścigany jako złoczyńca, musiał uchodzić ze stron rodzinnych i dostał się na Dzikie Pola Ukrainy, gdzie go Tatarzy, właśnie z wyprawy na ojczyznę naszą wracający, przydybali i z sobą uprowadzili.

Zrażony srodze do króla i rodaków, wyrzekł się ojczyzny i Boga nawet, to też Edyga-bey, który go był od razu wziął do siebie, nie dowierzał mu zupełnie i chociaż w domu swym, w Krymie, postanowił go nadzorcą nad majątkościami i niewolnikami, jednak przydał mu niezostąpnego, jak gdyby stróża, Tatarzyna, który miał rozkaz, niby mu posługując, śledzić, czy czasem do Polski uciec nie zechce. Zresztą wszyscy tu poważali wysoce Kubalima, który był wysyłany z towarem do Kaffy i nawet do Carogrodu, a w srogięj zaciętości swój nawet nie próbował wracać do rodaków. Jednak w sercu jego tkwiło jakby przywiązanie do ziemi i mowy ojczystej; długo tajone, teraz wybuchnęło nagle i człowiek ten twardy, surowy,

plakał jak dziecko, tuląc do piersi jasnowiącą główkę Stasia mego.

Święty ten chłopczyzna jak anioł czuwał nad tymi, co się do niego zbliżali; nawet ów dziki Turczyn, co nas w lochu pilnował, z dziwną jakąś ni-by trwogą zbliżał się do niego i cichym doń przemawiał głosem. Teraz braciszek mój, wróciwszy do przytomności, patrzył wielkimi oczyma swemi na Kubalima i domyślił się pewno, co się w sercu jego działo, bo zarzuciwszy mu ręce na szyję, coś mu długo, długo szeptał do ucha. Potem skinął na mnie, a kiedy ukląknęłam przy nim, prosił o trochę wody. Wpuścił do niej jakieś orzeźwiającej krople opiekun nasz, a Staszek, cokolwiek pokrępiiony, mówił:

— Ja umieram, bracie, ale nie płacz, nie żałuj, mnie bardzo dobrze... Ty i może Kubalim wrócicie kiedyś do naszej Polski i Mirę z sobą weźmiecie, że by była chrześcijanką; ja gdzieindziej pójdę, ale mnie jeszcze lepiej będzie, niż wam. pomódlcie się za mną, tylko krzyżyka mego nie ma... szkoda!...

Zerwałem medalik z szyi i włożyłem mu go w rączki i pocałowałem go, potem Kubalimowi do ust przyłożyłem Matkę Boską Częstochowską. Stary, posłuszny jak dziecko umierającemu, pocałował wizerunek święty, a ja zacząłem głośno mówić. „Pod Twoją obronę, choć mi lży mowę tamowały. Staszek mi rękę na głowie położył i czułem, że ta rączka coraz cięższa, zimniejsza... podniosłem oczy... mój braciszek nie żył... duszyczka jego uleciała do tego nieba, do którego tak tęskniła. Złoty promyk zachodzącego słońca przez podniesioną kotarę namiotu padł na twarzyczkę jego, która w tym blasku anielsko świeciła. Co dalej było, nie wiem: padłem jak nieżywy u stóp mego ukochanego brata i straciłem przytomność na długo, długo.

Kubalim mi opowiadał, że przebył wiele dni i nocy bliższy śmierci niż życia w strasznej gorączce, to płacząc rzewnie, to grożąc prześladowcom naszym, to wołając ojca i matki. Kiedym się ocknął i przejrzał raz pierwszy w strumieniu czystej wody, co opodal płynął, nie poznałem sam siebie: oczy mi gdzieś głęboko powpadały, a na głowie ledwie tu i owdzie został włosów kosmyczek. Co gorzej, straciłem był pamięć do tego stopnia, że nazwiska swego w żaden sposób przypomnieć nie mogłem; zapomniałem nazwę wioski naszej, imiona rodziców, Staszka tylko jednego wciąż wołając wśród gorączki, imię jego zatrzymałem. I tak teraz podwójnie sierota tułać się będę w ojczyźnie, nie mogąc trafić do swoich.

To mówiąc młodzieniec rzewnemi się zalał łzami.

XI. MEDALIK. — CUDOWNE ODKRYCIE. — OPOWIADANIE WDOWY.

Wszyscy ze wzruszeniem opowiadania tego słuchali. Wdowa, która pozdrowiawszy cokolwiek, przyłączyła się była do innych, płakała teraz nad sierotą wydziedziczonym wśród swoich, nie z dóbr i majątności, bo tych chciwym nie był, ale z tej miłości rodzinnej, do której lat tyle tęsknił.

— Czyż to być może — wyrzekła — żebyście tak zupełnie pamięć stracili o stronach rodzinnych? spróbujcie przywołać wspomnienia, może dojdziemy razem z jakich okolic was porwano, a wtedy łatwiej będzie odpytać kogoś z rodu waszego, jeśli jest jeszcze przy życiu. Przypomnijcie sobie, jak to wyglądał ów domek, ojcowizna wasza, jakie rosły drzewa, jaki kościółek?

Młodzieniec zbierał myśli: oczy jego patrzyły w dal, czoło zmarszczone i usta zacisnięte wskazywały, że wyteża wszelkie siły pamięci zamglonej cieniem przebytych nieszczęść.

— Tak, tak — mówił przerywanym głosem, jak gdyby do siebie — widzę, zda się, przed sobą mały, biały dworek i drzewa także białe... od kwiatu... i ule z pszczołami, i rzeczkę, co płynie i szumi z cicha po zielonej łące... Ach! i słyszę jakieś dzwony... a wtém krzyk dziki jakiś się rozlega... i ogień widzę, i krew w około mnie, i siwą głowę ojca na ziemi, we krwi, i pies biały ją liże... potem nic nie wiem... tylko krew, ogień... step...

— Boże wielki! — zawołała wdowa — Boże Wszchemocny! dzwony, i pożar, i tego psa białego... Czy nie mieliście na szyi medalika, a w nim za obrazkiem matki Częstochowskiej kilka włosów siwych ukrytych pod złotą blaszką?...

Młodzieniec, drżącą ręką rozrywając ubranie, wyciągnął na cienkim, mocno z końskiego włosa uplecionym sznureczku, medalik czerniały. Wdowa chwyciła go... padła na kolana i szepcąc: „Boże miłosierny... Wszchemocny!“... drżącymi palcami przyciskała brzegi małego obrazka Matki Częstochowskiej malowanego na blasze, która odskoczyła i wypadł z za niej kosmyk srebrzystych włosów.

— Janku! synu mój!... Janku!... — krzyknęła, wyciągając ręce do młodzieńca, przed nią stojącego nieruchomie i padła bez zmysłów na ziemię.

Rzucili się wszyscy cucić omdlałą, a młody braniec, biały jak marmur, na kolana się osunąwszy, pochwycił ręce omdlałej i tulił je do serca, co mu się z piersi wyrывało. Cała dusza zda się w oczach mu się skupiła: patrzył w bladą twarz kobiety i powtarzał z cicha:

— Janku... Janku... Boże Wielki! Tak mnie kiedyś wołali... Matko! matko moja! — i przypadłszy do ziemi, całował stopy tej, która cudem pra-

wie poznawszy dziecię od lat tylu stracone, teraz upadała pod zbytkiem szczęścia. Wkrótce jednak otworzyła oczy; spojrzenie jęj padło na klęczącego obok młodziana: wyciągnęła doń ręce, a tuląc jego głowę do piersi, powtarzała słowa cichęj modlitwy. Teraz z kolei przystąpiła córka, którą Janek, objąwszy silném ramieniem, przyciągnął do siebie, powtarzając: „siostra”? jakby sam sobie nie wierzył. Wszyscy byli zdumieni i wzruszeni, nie śmiejąc przerywać słowami tęg dziwnęj a niespodziewanęj sceny; wreszcie pan Gozdawa się odezwał:

— Wytlómaczcie się, pani bratowo, zkąd się to wszystko wzięło, bo dalipar nic nie rozumiem! Przecież od lat piętnastu lejecie łyzy po zgonie małżonka i synów waszych, a tu nagle zmartwychwstaje z nich jeden! Jak i zkąd, powiedzcie, na miłość Boga?

— Ja sama, panie bracie, nie pojmuję jeszcze, jak się to stało, a jednak wiem, że syn mój rodzony tu stoi przedemną. Nie darmo mi serce dziwnie jakoś uderzyło, kiedym go raz pierwszy u Jasnej Góry ujrzała, a potém się na jego synowskiem ramieniu wspierała! Ten oto medalik zawiesiłam na szyi pierworodnego syna naszego, błogosławiąc go, by się stał kiedyś podobnym do ś. p. dziadka swego, a rodzica mojego, którego włosy w medaliku ukryte były.

— A ja o tęg nie wiedziałem nawet, przechowując ów skarb przez lat tyle na piersi mojęj! Czyż nie on mnie chronił w tych niebezpieczeństwach i ciężkich uciskach, jakich doznawałem, a teraz, czyż nie tęg świętęj relikwii zawdzięczam cudowne odnalezienie matki!... — i tu młodzieniec całował gęraco medalik i ręce złożone wdowy naprzemian.

— Więc to o tym dziadku wspominaliście, że był przez Tatarów męczony? — spytała nieśmiało Maryjka, patrząc w oczy bratu — a ja, matenku, nie wiedziałam o tęg, inaczej byłabym się domyśliła przecież, że to... że to brat... — dokończyła i zalawszy się łzami z wielkiego wzruszenia, gdy ten wyraz wymówiła, osunęła się do kolan matki. Ta, gładząc jasnowłosą główkę dziewczęcia, mówiła:

— Nie chciałam już duszyczki twojęj zasmucać przypomnieniem dziejów męczeństwa naszego; i tak po owym okropnym napadzie pohańców drżałam długo o życie twoje, o skarb ostatni, jaki mi był na ziemi pozostał. Cudownym sposobem uniknęłyśmy śmierci i jasyru, bo na pierwszy okrzyk trwogi nianka twoja ukryła się z tobą do piwnic głębokich, przy dworku naszym wykopanych. I ja się tam rzuciłam, posłyszawszy płacz mego dziecka, a osłabiona ciężką niemocą, z któ-

ręg dopięro byłam powstała, upadłam zemdlona i nic nie widziałam, co się dalej stało. Kiedym się ocuciła, tyś płakała na rękach nianki zawodzącęj głóšno. Wyrzałam z ukrycia naszego, ale cóż za okropny widok! Zamiast białego dworku naszego, kupa dopalających się gruzów, na podwórku we krwi trup męza mego i wiernego naszego Macieja, a pies nasz Biłek lizał ich zwłoki. Synów moich ani śladu nie było. Z całej wioski zostało kilkoró może ludzi, którzy płacząc rozgrzebywali zgłiszczą domostw swoich, szukając zwłok pomordowanych; resztę czerń uprowadziła...

Powlokłam się z dzieckiem i wierną Hanią do Tulczyna, gdzie nas przedewszystkiem ksiądz proboszcz tamtejszy przygarnął. Właśnie pędziło wojsko nasze w stronę szlaku tatarskiego, na wieść o strasznych mordach i pożogach, jakie wyprawiała dzicz ta, wpadłszy niewiadomo zkąd chyłkiem na ziemie nasze. Dowodził oddziałem naszych sam pan Ostafi Daszkiewicz *) a miał pod sobą dużo kozaków, co najlepiej z Tatarami rady sobie dawać umieli. Wypytując ludzi po drodze, pędzili oni w ślad za tatarstwem, a dowiedziawszy się, że mnoga siła pohańców pono się zjawiła, wlekli ze sobą i działa. Pccieszał mnie dobry ksiądz pleban i inni, że nasi Tatarów dogonią i brańców im odbiją, jak to już pono nieraz bywało. Oto — mówił ksiądz pleban — przed kilku laty Jan Kamieniecki, kasztelan lwowski z 500 tylko ludzi służebnych dognał zagon tatarski już uciekający pod *Komorowem* (1506), ze 2000 pohańców na placu położył i odbił łupy i jeńców. I wiele innych przykładów podobnych mi opowiadali, a nadzieja zaczęła w biedne serce moje wstępować, że dzieciny moje jeszcze do mnie wrócą.

I dognali nasi Tatarów; to musiała być ta bitwa na polach Kijowskich **) którą ty, synu mój, słyshałeś zdaleka. I wrócili pobiwszy Tatarów, ale brańców nie znaleźli, tylko mogiłę z ciał pomordowanych i już przez dzikie ptactwa poszarpanych. Śród szmat krwawych, jakie zabrali z sobą dla poznaki, znalazłam cienką chusteczkę mojem i rękami uprzedzoną i utkaną...

— Ach, to ta pewnie, którą naszemu szlachcicowi pokaleczoną rękę obwinąłem był, i z nią go pohańcy na śmierć powlekli — przerwał Janek.

— Oblałam łzami gorzkimi tę spuściznę po

*) Przyjaciel księcia Konstantego Ostrońskiego jednego z najsłynniejszych wodzów bitnęg kozaczyzny, którą urządzać począł. Liczne staczał walki z Tatarami.

**) Krym od Polski oddzialały stępy, zwane Kijowskimi Polami, bo Kijów stał niby na straży z wieżycami swojemi i zdala pogłądał na te stępy. W zamku kijowskim czuwał wojewoda, wyglądając zawsze Tatarów; po obu stronach Dniepru bezładne stępy do Perekopu.

moich dzieciątkach i puściłam się pieszo w drogę do tego okropnego miejsca, żeby choć ciała ich odszukać. Ale mnie wstrzymali ludzie, bo i te resztki, co zostały, nasi pogrzebli byli na stepie i niczym ujrzeć nie mogła. Odtąd porzuciłam Ukrainę i z dzieckiem schroniłam się na Wołyn, pod Krzemieniec, do krewnych moich po matce. Ślubowałam Matce Najświętszej pielgrzymkę do Jasnej Góry, jeśli mi Maryjka zdrowo do lat sześćnastu urośnie, a Ty, Boże Wielki!... — dodała matka biedna, padając na kolana — dajesz mi syna, jakby wskrzeszonego z martwych...

I długo jeszcze, długo trwała rozmowa przerywana łzami i dziękczynieniem Bogu, aż późno w noc Gozdawowie nakłonili wszystkich do rozejścia się, chociaż nikt oka zmrużyć nie mógł z radości i wzruszenia wielkiego.

Koniec części 1-jej.

JUBILEUSZ RAFAELA.

Dnia 28 Marca roku bieżącego we Włoszech i w całym niemal świecie cywilizowanym obchodzono uroczyste jubileusz, to jest czterechsetletnią rocznicę urodzenia wielkiego malarza Rafaela. Imię to jest tak powszechnie znane, tak popularne, że niewątpliwie i czytelnikom Pisma naszego nie jest obcym. Takiego uwielbienia, tak niespożytej sławy, nie zdobył sobie żaden malarz, ani w dawniejszych, ani w nowszych czasach. Bo też, według zdania znawców, nie było większego, doskonalszego mistrza sztuki malarskiej od Rafaela. Cztery wieki minęły od chwili, gdy ujrzał światło dzienne, a nikt go jeszcze nie przewyższył, nikt mu nie dorównał nawet.

Rafael Sanzio urodził się w mieście Urbino w Umbryi, dla tego też zwykle nazywają go Rafaellem z Urbino. Ojciec jego, także malarz i sam był pierwszym nauczycielem swojego syna. Później Rafael przeniósł się do miasta Perugia i tam kształcił go dalej malarz Vanuzzi, od miejsca zamieszkania przewany Perugino. Był to w swoim czasie malarz sławny, ale daleko więcej się wślawił tym, że uczył Rafaela, aniżeli własnymi swojemi dziełami. Następnie Rafael udał się do Florencyi, gdzie dosyć długo przebywał, później do Rzymu i tam pozostał do śmierci. Umarł młodo, miał bowiem zaledwie 42 lata. Krótkie to życie wystarczyło mu jednak na dokonanie licznych arcydzieł.

Kto tylko zna imię Rafaela, ten także wiedzieć musi, że znakomity ten mistrz ze szczególnym zamiłowaniem malował postać Najświętszej Panny.

Sławne są na całym świecie Madonny Rafaela, równie jak ich twórca, a ze wszystkich najpiękniejsza i najświetniejsza jest Madonna Sykstyńska, znajdująca się w galerii drezdeńskiej. Nazwa Sykstyńskiej ztąd pochodzi, że w obrazie, poniżej postaci Matki Boskiej, przedstawiony jest Śty Sykstus i Ś-ta Barbara.

Rozmaite reprodukcje tego obrazu, kopie olejne, sztychy, drzeworyty, fotografie, także są niezmiernie rozpowszechnione i wielu z czytelników naszych widzieć je musiało. Ale trzeba wiedzieć, że żadna reprodukcja, choćby najdoskonalsza, nie może dać dokładnego wyobrażenia o tém arcydziele Rafaela. Będąc w Dreźnie, oglądaliśmy tę Madonnę i dopiero wpatrując się w oblicze jej niebiańskie, zrozumieliśmy uwielbienie, jakie od czterech wieków otacza ten obraz, uwielbienie zawsze jednakowe, a może nawet wzrastające z czasem.

Spróbujemy opisać tu wrażenie, jakiegośmy doznali, aby wam dać pojęcie o tém, czém jest ta Madonna dla każdego, nie znawcy, nie artysty z powołania, lecz tylko czującego piękno prawdziwe, pojmującego wyższy polot ducha.

Wchodzimy do galerii drezdeńskiej, widzimy tam mnóstwo pięknych obrazów, mnóstwo arcydzieł, przechodzimy z sali do sali, utwory najświetniejszych w świecie malarzy przewijają się przed oczyma naszymi w takiej ilości, że doznajemy pewnego rodzaju odurzenia. Wszystko tu jest piękne, zachwycające i w każdy obraz z osobna można się wpatrywać bez końca. Nakoniec wchodzimy do mniejszego gabinetu, gdzie, jakby w przybytku, naumyślnie urządzonym dla największego w świecie arcydzieła, umieszczona jest Madonna Rafaela.

Sądzićie może, iż na ten widok doznaliśmy jakiegoś piorunującego wrażenia? Nie, przeciwnie, w pierwszej chwili wzrok, jakby olśniony tylu pięknościami, widzianemi poprzednio, taką bogatą grą barw i światła, jest prawie nieczuły w obec Madonny Sykstyńskiej, nawet, chciałoby się powiedzieć: więc to tylko to! Ale ta chwila niepewności, dla nas przynajmniej, nie trwała długo.

Zwolna, nieznacznie, jakby mgła jakaś rozsulała się przed naszymi oczyma, jakby promienie nowego światła oblewały postać niebiańską na obrazie, i zajaśniała wreszcie taką nadziemską pięknością, że wszystko, co się o nią słyszało i czytało, wydało się niczém w obec rzeczywistości. Oblicze Najświętszej Panny jest cudnie piękne, o tém niema co mówić, ale nie piękność rysów w niém zachwyca, lecz wyraz, gdyż podobnego wyrazu nie może mieć żadna ziemską istota. W oczach jej jest coś tak głębokiego, że gdy wzrok w nich utonie, zapominamy o wszystkiém, co nas

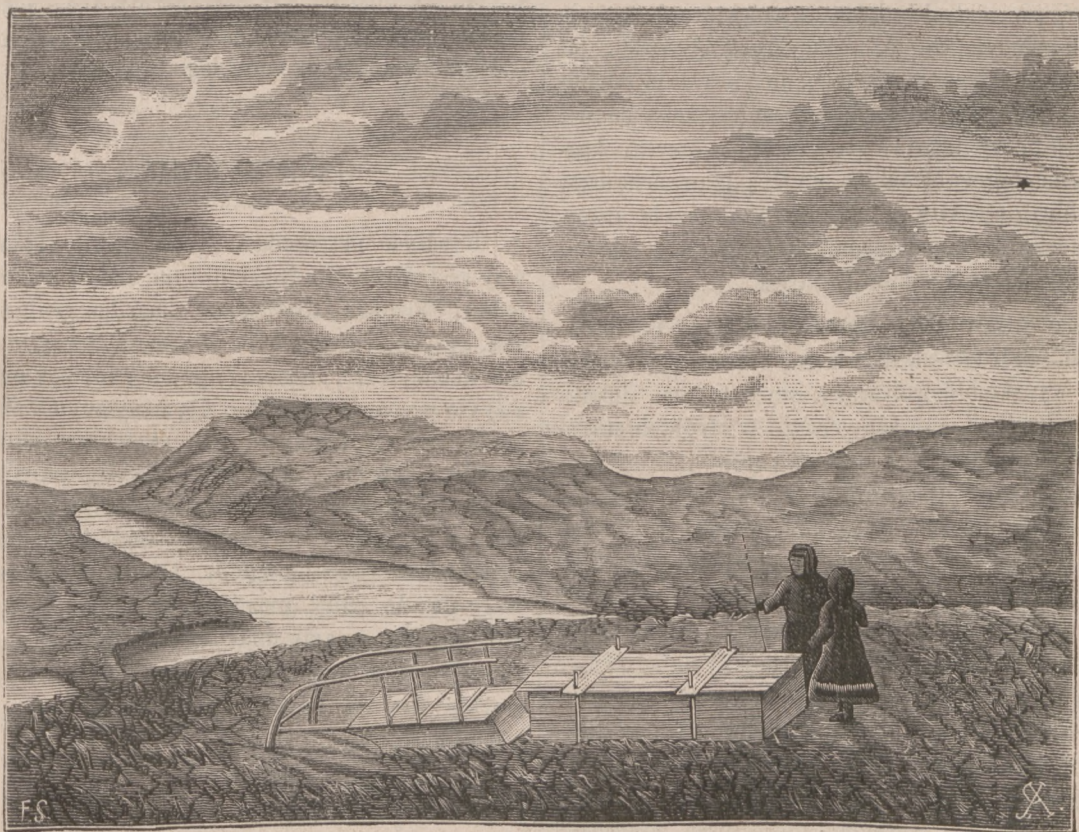
otacza, a duszę naszą ogarnia niewypowiedziane uczucie zachwytu. Cała ta postać, lekko unosząca się w powietrzu, zaledwo stopą dotykająca obłoków, porywa i nas za sobą w nadziemskie, niebiańskie sfery.

Rafael, zapytywany przez swoich przyjaciół, z kąd bierze wzory i pomysły do swoich obrazów, odpowiedział, że te pomysły powstają w jego duszy. I dla tego też tak potężnie przemawiają do duszy patrzących, porywają ich, zachwycają, bo postaci te, utworzone w duchu mistrza, duchową mają piękność, w zmysłowe kształty obleczoną. Tonąc w tych cudownych oczach Madonny Sykstyńskiej,

choć piękne ludzkie postaci. A to dla tego, że malarz, który taki obraz malował, nie umiał sobie wytworzyć pojęcia o wzniosłych, nadziemskich istotach, i nie mógł też nadawać podobnych cech swojemu utworowi.

Rafael dar ten posiadał w wysokim bardzo stopniu, dla tego piękno wyższe, duchowe, które wcielił w swoje obrazy, nie starzeje się i po upływie czterech wieków tak samo zachwyca, takież same budzi uwielbienie, jak za życia mistrza; piękno to bowiem jest nieśmiertelne.

Nie będziemy tu wyliczali choćby ważniejszych tylko dzieł Rafaela, wyliczanie to nie wieleby was



(Grób samojeda (str. 282).)

zaglądamy niejako w głąb ducha Rafaela; a duch to był wzniosły, religijnym uczuciem przejęty, przytém mistrz posiadał rzadką zdolność przelewania w utwory swoje tych natchnionych pomysłów, które się rodziły w jego duszy. On czuł, pojmował, czém jest istota nadziemska, boska i umiał postaci swęj Madonny nadać ten charakter nadziemski, boski.

Ileż to razy zdarza się nam widzieć obrazy, przedstawiające Matkę Bożą lub świętych Pańskich, ale nie wywierają one na nas żadnego wrażenia, widzimy w nich tylko zwyczajne i pospolite,

nauczyło, a rozpisywać się o nich obszernie nie chcemy, gdyż zamierzamy to uczynić w Pogadankach o sztuce, przerwanych na czas jakiś, a które wkrótce w dalszym ciągu podawać będziemy czytelnikom naszym. Teraz opowiemy wam tylko o obchodzie jubileuszowym, na cześć wielkiego malarza urządzonym w jego ojczyźnie.

Zwłoki Rafaela spoczywają w Rzymie, w świątyni, zwanęj Panteonem za czasów pogańskich Rzymu, dziś zamienionęj na kościół Najświętszęj Panny Męczeńskiej. Głównym celem uroczystości było umieszczenie w framudze nad grobem piękne-

go brązowego popiersia mistrza. O dziesiątej z rana liczny orszak wyruszył z Kapitolu, zmierzając ku Panteonowi. Na nieszczęście ślota trwała od dni kilku, padał deszcz ze śniegiem, gdyż w tym roku wyjątkowo wiosna i we Włoszech, tak samo jak u nas, była bardzo zimna. Około dziesiątej jednak wyjaśniło się nieco, a orszak skorzystał z krótkiej przerwy w ulewie, aby odbyć swój pochód wśród niezliczonych tłumów, które zalegały ulice Rzymu.

Przodem postępował oddział straży ogniowej, a za nim ośmiu sług dawnego senatu rzymskiego, zwanych *fedeli* (wierni) w malowniczych strojach z XVI wieku, ze złotogłowiu i purpurowego aksamitu. Nieśli oni olbrzymie wieńce i równianki, a raczej piramidy kwiatów, z pod których prawie ich nie było widać. Muzyka straży ogniowej, jedna z najlepszych w Rzymie, przygrywała pochodowi. Dalej niesiono chorągiew rzymską ze złotym orłem legionów u szczytu i z wilczycą, karmiącą legendowe bliźnięta, na tle pomarańczowego jedwabiu. Główną tę chorągiew otaczało czternaście innych, przedstawiających dzielnice miasta, wszystkie także z orłami Cezarów.

Za chorągwiami postępował książę Torlonia, syndyk, czyli naczelnik miasta, w towarzystwie innych wysokich dygnitarzy; otaczała ich dokoła gromadka tych samych *fedeli* w strojach staroświeckich, niezmiernie malowniczych.

Dalej szli przedstawiciele akademii Rafaela w Urbinie, niosąc chorągwie prowincyj Urbino i Pesaro; prezesi rozlicznych akademij włoskich i zagranicznych, zakładów i stowarzyszeń, a na ich czele p. Occioni, rektor uniwersytetu rzymskiego; akademie cudzoziemskie sztuk pięknych, istniejące w Rzymie i stowarzyszenia cudzoziemskich artystów, a ponad nimi powiewały chorągwie wszystkich niemal europejskich i wielu amerykańskich narodowości. Prześlizny to był widok. Potem snuły się długim szeregiem niezliczone reprezentacje miejscowych ciał naukowych, artystycznych, a nawet rzemieślniczych. Uczniowie szkół wyższych i niższych, a nakoniec tłumy ludu. Sam orszak składał się z przeszło pięciu tysięcy osób. Wspaniały był widok tego pochodu, postępującego przy dźwiękach pięknej muzyki z mnóstwem powiewających chorągwi, niezmierną ilością wieńców z wawrzynu i kwiatów, bukietów ze wstęgami o złocistych napisach.

Wszyscy nie mogli się pomieścić w Panteonie i część orszaku uszykowała się ze sztandarami swemi na placu przed świątynią. Wewnątrz zaś odbyło się odsłonięcie pomnika Rafaela, umieszczonego we franudze, poczem zapisano datę dnia

tego w pamiątkowej księdze, i zasypano kamień grobowy olbrzymiami stosami kwiatów.

O drugiej godzinie po południu odbyło się uroczyste posiedzenie akademii Ś-go Łukasza w pałacu konsulów na Kapitolu. Uczestniczyli w tym obchodzie królestwo oboje, oraz wszyscy dygnitarze i wyżsi urzędnicy. Sekretarz akademii odczytał mowę o Rafaelu, a dobrany chór śpiewaków odśpiewał piękną kantatę na cześć wielkiego mistrza ułożoną.

I u nas w Warszawie obchodzono ten jubileusz. W salonie p. Ungra, gdzie jest wystawa obrazów, zebrano wszystkie kopie i reprodukcje dzieł Rafaela, jakie zdołano znaleźć w Warszawie, i urządzono w tym salonie dwa odczyty. W pierwszym opowiedział profesor Struve życie Rafaela, w drugim p. Gerson, znany nasz malarz, mówił o dziełach wielkiego włoskiego mistrza.

GRÓB SAMOJEDA.

Rysunek przedstawia grób, jaki oglądał sławny podróżnik Nordenskjöld na cmentarzu Samojedów. Trumna, zbudowana z bardzo grubych desek, przytwierdzona była do ziemi. Szczątki ubrania wskazywały, że zmarły pochowany był w stroju, zwykle przez Samojedów używanym. Obok tych szczątków w trumnie były kawałki żelaznego garnka, siekiera, nóż, łuk, strzały, parę ozdób z miedzi i kawałki kory brzoźowej, mającej zapewne na to służyć, aby zmarły mógł sobie na tamtym świecie rozpalic ogień. Obok grobu znajdowały się do góry przewrócone sianie, po to tam złożone, aby zmarły miał czem jeździć na tamtym świecie. Renifery zaś, któremi za życia jeździł, zwykle bywają zabite i zjedzone podczas stypy pogrzebowej.

RODZINA ARTYSTY

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA,

przez M . . a.

(Dalszy ciąg).

— I cóż? — spytała Kasia, wchodząc i zastając już starszą siostrę jak zawsze na swoim miejscu.

— Zgodziłam się.

— Dwadzieścia rubli! i wydatków prawie żadnych! to karyera! to tak, jakbyśmy już mieli kamienicę z ogrodem, i to za twoje głównie pieniądze.

— Tak; to też przyjął, a teraz żałuję.

— A to czego?

— Tego, że powinna byłam przedewszystkiēm donieść o tē m rodzicom i o pozwolenie zapytać; ale że wy, to jest chłopcy chcą koniecznie niespodziankę ojcu z powiększenia kapitału zrobić, więc chciałam ich uwiadomić, że tę niespodziankę po części wydam, i dla tego tylko powiedziałam wam o moich zamiarach dziś rano. Tymczasem, wyście mię zakrzyczeli waszē m jednozgodnē m „brać“, a moi państwo tak znów tam na mnie powstali, że nie umiem ich życzliwości ocenić, że sami rodzice z pewnością by woleli, abym zimą po mrozie dwa razy dniami nie biegała, aż przystałam. A teraz żałuję.

— Ale dla czego? bo to przecież prawda, że rodzice, a szczególniej mama, wolałaby, żebyś nie biegała po mrozie; ci państwo w tē m mają słu szność, jakby najlepiej znali naszą mamę. A żeś się rodzicom nie opowiedziała, to może i niedo brze, ale toby się znów niespodzianka wydała i chłopcyby się zmartwili, więc najlepiej jest tak, jak się stało, a ty nie żałuj, bo nie masz czego.

— Ej, mam, tylko nie umiem powiedzieć, co czuję, i o co mi chodzi.

— Naprzykład?

— Czy pamiętasz, jak odjeżdżając, a raczē j wychodząc już z tego pokoju, mama pocałowała mię kilka razy i powiedziała, pokazując na to krzesło przy stole i na piecyk, z którego ja wła śnie imbryk z herbatą wyjęłam.

— Zostawiam cię na moję m miejscu, jakby matką młodszemu rodzeństwu; pamiętaj, żeby im było dobrze, żeby m wszystko zastała, jak zosta wiam.

— Pamiętam; i cóż ztąd?

— To, że mama nie zastanie wszystkiego tak, jak zostawiła, bo już ja przeczuwam różne zmiany, a tym zmianom dam właśnie początek ja, która powinna pilnować, ażeby ich nie było. Jest mi tak, jakbym popełniła ciężki grzech. I musi to być w tē m coś złego, kiedy mi tak jest...

— Jak? — spytał Kazio, wchodząc ciężkim krokiem, bo i książek zawsze niósł dużo i zmęczo ny był, więc istotnie miał w chodzie ociężałość starego człowieka.

— Tak, że ję j się płakać chce dla tego, że bę dzie miała moc pieniędzy, a mamy o pozwolenie nie pytała.

— Oho! z kobietami to wiecznie w kółko; ju żeśmy raz uradzili, że ma być tajemnica i niespo dzianka, a więc rzecz skończona — rzekł Kazio i zasiadł do książek.

— Co skończone? — zapytał Oleś, wpadając

ze skrzypcami i składając je troskliwie na półce nad swō m łóżkiem.

— To, że rodzice mają nie wiedzieć nic o tē m, jak my pracujemy, aż wrócą i przekonają się, że nauka nie ucierpiała, kapitał wzrósł i my nie zamęczyliśmy się z nudów, co by pewno w inaym razie nastąpiło.

— Albo co, kto chce wygadać?

— A któżby, jak nie Aneczka ze swemi skru pułami.

— O! niewiasto!

— Sza! i basta! a za⁴ żeby twoje skrupuły raz usunąć, powiem ci, że wracam prosto od mego kupca, który mię na herbatę do siebie na górę za prosił. Przy herbacie wypytywał mię o was i o mnie, i jak my sobie rady dajemy? a ja tē m v opowiedzia łem, rozgadawszy się, całą historję m waszego kapi tału od półczwarta roku i o tē m, jak tē m raz posta nowiliśmy go skrycie na niespodziankę ojcu po większyć. No, wiecież, co powiedział kupiec, któremu przecież ojciec kazał ufać, bo to jest człowiek bardzo uczciwy, i zacny, i rozumny. Oto uściskał mię i swojemu synowi dał nas za p. zy kład, potē m prosił mię, żebym do nich co niedz ie la przychodził akompaniować samę j pani kupco wę j przy fortepianie, za co będzie mi płacił, żeby wszyscy chłopcy w sklepie wiedzieli, jak on cen i zabiegliwość i oszczędność, które są podstawą by tu ludzi, narodów i świata całego. Bo nikt nie jest oszczędniejszym, przemyślniejszym i zapobie gliwszym od Tego, który potrafił urządzić całą przyrodę i porządek świata tak, aby w nim nic nie ginęło i nic nie próznowało nigdy. I po takiē m kazaniu, powiedzianē m dla tego, że jego syn nas słuchał, jeszcze mi kupiec powiedział, gdym mu i o dzisiejszych układach Aneczki wspomniął, że jeżeliby brak gospodyni miał mi w domu być przy kry, to i ja mogę ze wszystkiē m u niego zostać tak, jak dwóch innych chłopców, którzy w skle pie nocują. Ale, zapomniłem jeszcze, że kupiec wprost pochwalił nam tę niespodziankę, tę tajem nicę przed rodzicami, o którą tak się Aneczka targowała i targuje. Pochwalił dla tego, że jak on utrzymuje, u nas koniecznie trzeba ludzi prze konać raz o potędze przemyślnę j zabiegliwości, a ojciec jest właśnie jednym z ludzi, którzy naj bardziej takiego przekonania potrzebują.

— Ojciec ma inne przekonania, a twō j kupiec inne...

— Ale się szanują wzajemnie, i wiesz, że oj ciec nas po części kupcowi polecił i kazał go słu chać. Z czego wypada, że Aneczka ani piśnie o naszych tajemnicach rodzicom, a ja będę noco wał w sklepie, bo mi to czasu oszczędzi.

— Będiesz nocował w sklepie? — spytał na-

gle Kazio, głowę od książki podniósłszy i wpatrzył się w brata namysławiac.

— Tak, albo co?

— A gdybyśmy też odnajeli Izbę Radną tak, jak pokój ojca i kuchenkę?... na pojedynczy pokój ze sprzętami i w tej części miasta lokator zawsze się znajdzie; a coby nam przybyło dziesięć rubli na miesiąc, toby przybyło...

Aneczka cofnęła się w tył na krzesło, jakby się Kaziowego wniosku zlekła. Inni milczeli z szeroko otwartymi oczyma, patrząc na mądrego brata. Wniosek był ważny.

— A gdzie ty i Kasia nocować będziecie? co wam niedługo do głowy nie przyjdzie! — zawołała Aneczka, gdy wreszcie przemówić mogła.

— Ja? ja dziesięć pomieszczeń zaraz jutro znajdę za korepetycyę. Ale co do Kasi, to masz słusność, żem źle powiedział.

— Otóż nie!—cóż to? czy ja nie potrafię sobie miejsca znaleźć tak, jak i wy? czy co gorszego od was jestem?

— Nie plotłabyś; nikt tu nie jest gorszy ani lepszy; nam się tak trafiło, a tobie nie, i cała rzecz. Nie można wynajmować Izby.

— A ja wam powiadam, że można! Jeżeli Kazio może mieć dziesięć pomieszczeń na zawołanie, to i ja mogę mieć z jedno. Wynając Izbę!

— Nie zgadzam się!

— Dla czego? dziesięć rubli!

— Nie można! za ważna to rzecz, żeby się samym rozporządzać.

— Trzeba! taka ważna, jak i wszystko reszta, co robimy.

— Wynająć!

— Wynająć!

— No, to wynająć...

— Nie można! nie powinniście!

— Większość głosów! wniosek przeszedł!

Aneczka nie ma głosu.

— Wam się w głowach zawraca!

— Większość głosów! większość głosów!

Prawdziwy krzyk powstał w Izbie Radnej, a krzyczano i upierano się przy swoim zupełnie bez żartów, bo ojciec sam przyzwyczał był dzieci brać na seryo takie rady. Nawet matka przywyknąć musiała do tej zabawki. Przedstawiano na tych radach wszystko, cokolwiek miało w domu zająć z woli lub na korzyść którego bądź z rajców, choćby sprawienie pary bucików. Ojciec przydawał, ale pierwszy poddawał swoje własne sprawy, nieraz i ważne, pod rozpatrzenie Rady. I dla tego też, gdy wypadkiem w przesileniach domowych finansowych zdarzało mu się czasem wyłamać z pod praw, które sam ustanowił, napadano go tak gwałtownie, jak to właśnie miało miejsce

na początku tej powiastki przy sprzedaniu obrazu. Więc teraz też z powodu ważnego wniosku powstała prawdziwa burza w Radzie: krzyczeli wszyscy, nikt nie słuchał. Aż Aneczka, zerwawszy się z miejsca i krzyknawszy całą siłą:

— Nie pozwalam! — uciekła.

Gróbowe milczenie zapanowało na chwilę; ale tylko na chwilę; rajcy natychmiast pobiegli do okna, gdzie Aneczka usiadła, podparłszy głowę na ręce, i zawezwali ją w imię dobra ogółu do zajęcia napowrót miejsca w kole obrad i do wyłomaczenia swego postępowania.

— A cóż wam tłumaczyć pomoże, kiedy krzyczycie wszyscy razem, a nikt nikogo nie słyszy.

— Już nie będziemy krzyczeć, jużemy ochłonieli, nie masz co się gniewać, bo przy roztrząsaniu ważnych kwestyj, takie burze parlamentarne zdarzają się wszędzie, zdarza się i gorzej... do czego u nas przecież nigdy nie przyszło. No pójdź!

Aneczka dała się zaprowadzić na miejsce, każdy usiadł na swoim i obrady otworzono znowu.

— Wnoszę wynajęcie Izby Radnej, raz dla zysku dziesięciu rubli na miesiąc, a powtóre dla zysków, jakie każdemu z nas układ ten zapewnia, przysparzając nam czasu, i oszczędzając obuwia zdartego na bieganiu do Izby tej na nocleg.

— Głosuję za wnioskiem, a gdy wejdzie w wykonanie dowiodę, że nie będąc w niczem gorszą ani mniej zasłużoną od was wszystkich, potrafię sobie także znaleźć miejsce na świecie poza murami tej Izby tak, jak inni już to potrafili, lub zapewniają, że potrafią. Dziesięć rubli miesięcznie, to się przecież przyda przy budowaniu domu i zakładaniu ogrodu.

— Głosuję za wnioskiem, raz dla dziesięciu rubli, a powtóre dla oszczędzenia tej świątyni praw i ustaw zniewag i upadku, na jakie jest narazoną w nieobecności naszego prezesa.

— Jakich zniewag? jakiego upadku? proszę o wyjaśnienie!

— Samo obecne odezwanie się twoje jest już dowodem jej upadku, przez zaniedbanie form przyjętych: bo każdy powinien najprzód prosić o głos, nim przemówi.

— Poważam się zwrócić uwagę Izby na niedorzeczność szanownego kolegi, zarzucającego mi nieposzanowanie form; nie mogę prosić o głos przed przemówieniem, bo aby prosić, trzeba przedewszystkiem przemówić, a radzcom nie mówi się „ty” tylko „szanowny kolega”.

— A ja poważam się zwrócić uwagę obu szanownych kolegów, że kłócąc się o poszanowanie należne Izbie, znieważają Izbę temi kłótniami.

— Do porządku, do porządku! dwunasta godzina, czas spać.

— Otóż dla tego właśnie, że w nieobecności ojca niema w Izbie naszej żadnego porządku, że od chwili jego wyjazdu ani jedno, jedyne posiedzenie, nie tylko już nie odbyło się porządnie, ale nawet ani jedno wcale miejsca naprawdę nie miało; że nawet posiedzenie obecne nie odbyło się wcale wedle regulaminu, i tę nawet odrobinę form parlamentarnych, w jakich się przedstawia, przybrało prawie mimowoli w chwili zapału, na skutek przyzwyczajenia do form tych, przestrzeganych ściśle niegdyś przez prezesa naszego; otóż dla tych wszystkich przyczyn głosuję za zamknięciem obrad nielegalnych pod każdym względem, i za wynajęciem Izby na korzyść kapitału.

— Zgadzam się.

— Zgadzam się.

— Czyście poszaleli! a cóż będzie z naszą nauką! — zakrzyknęła Aneczka i po tym okrzyku nastąpiła znów długa cisza. Spoglądano na siebie z pod oka, jakby ze wstydem, bo też i miano czego się wstydzić, gdyż pokazało się, że wszyscy nie wyłączając Kazia, zapomnieli na ten raz o nauce. Żądza zbierania pieniędzy owładnęła młodemi duszami tak bardzo, że nawet dla uczonego Kazia stała się celem, gdy nauka zeszała i u niego na drugi plan, jako środek do tego celu wiodący. Przez chwilę spoglądano na siebie, jakby porozumiewając się oczyma, w których jedna i taż sama myśl połyskiwała, nie śmiejąc się wyrazić inaczej a jawniej. Aż nakoniec Kasia rzekła, wzruszając ramionami:

— Aneczka jest wyborna; nam każe zawracać sobie głowy rzeczami, które nam się nigdy w życiu praktycznym i w zawodach naszych na nic nie zdadzą, a sama się od nich uwalnia.

— Myślałam nad tem, i to mię właśnie głównie skłoniło do tego, co zrobić zamyslałam; oto część zwiększonej pensji mojej odejmę od kapitału, a poświęcę na lekcye prywatne dla siebie samej. Radziłam się pod tym względem doświadczonej nauczycielki, mojej znajomej, ona zakreśliła mi jakby pewny plan nauk i wiadomości, które powinnam osiąść, ażeby być dobrą nauczycielką do początków, i z narady naszej wypadło, że ponieważ mam zamiar uczyć tylko panienki i to tylko w pewnym zakresie, przeto nauka z trzech klas męzkich jest dla mnie wystarczającą, a resztę moich wiadomości muszę zaokrąglić i wyrównać, pracując sama przy pomocy nauczycielki.

— No, jeżeli tak, jeżeli dla nauczycielki ma wystarczyć nauka z trzech klas, to tem bardziej spodziewam się wystarczy dla sklepowej.

— A jeszcze bardziej dla subiekta, któremu chyba geometrya wcale nie potrzebna.

— Istotnie, choć się z tem nie odzywałem, abyście nie myśleli, że was uczyć nie mam ochoty, to jednak przyznam wam, kiedyście to już sami spostrzegli, że jeżeli nasze uczenie się wspólne było dotąd dobre, to dalsze nie miałyby już żadnego celu. Trzy pierwsze klasy dają jakby podstawę ogólną, którą każdy mieć powinien; ale dalej trzeba się przecież kształcić wedle swego zawodu. Mnie się zdaje, że Oleś i Kasia powinni się przede wszystkim wyuczyć jako tako języków nowożytnych, niemieckiego i francuzkiego, a tego się nie nauczą odemnie.

Na te słowa Kazia wszystkie oczy zwróciły się na niego; on swoje spuścił, bębniąc palcami prawej ręki po stole. Po raz trzeci tego wieczora głucha cisza przerwała burzliwą naradę; ale cisza jakaś odmienna: dziwnie przykra, jak dotąd nigdy nie bywało w tej izbie. Młode dusze tonęły przez czas tej ciszy w jakimś niepokoju nieokreślonym, aż ciężkie westchnienie wydarło się z najstarszej z młodocianych piersi i Aneczka wstała od stołu, powoli, jakby zmęczona nadzwyczajnie całą tą naradą. I wszyscy wstali od stołu.

— Co tobie? — spytała przelekniona Aneczka w parę minut później, znalazłszy się przypadkowo tuż obok Kasi, która dziwnie zmieniona, jakby nie ta sama strojna gaska sklepowa, stała w oknie, patrząc w blade gwiazdeczki, na ciemnym niebie błyskające przez tumany śnieżycy. Dwa strumienie łez płynęły po twarzy Kasi.

— Nie wiem,.. jest mi tak, jakby Kazio miał w ręce chleb i nie chciał się nim ze mną podzielić.. — szepnęła po cichu.

— Nie oburzaj się,.. ja wiem, że ty sama już od wakacyi miałaś ochotę przerwać tę naukę.

— Prawda; i gdyby to był kto obcy... ale Kazio, brat... dziś się tu coś stało, coś zerwało się między nami, pękło... — szeptała Kasia.

Obie dziewczynki jednocześnie spojrzaly z boku na chłopców, z których jeden w milczeniu coś majstrował koło swoich szkzyków, a drugi, zerwawszy się gwałtownie od księzek, rzucił się na łóżko, i nakrył z głową kołdrą, poraz pierwszy w życiu nie pomodliwszy się przed spoczynkiem. Zdawało się, że istotnie między nimi coś pękło. Po chwili Oleś cisnął skrzypce na stół, jakby je chciał rozbić i położył się spać także, ust nie otworzywszy.

— Kasiu! — szepnęła wtedy cicho Aneczka, — Kasiu! jak bądź, co bądź będzie, pamiętaj, żeby przynajmniej między nami dwiema nigdy nic nie rwało się, i nie pękło, pamiętaj!

(D. c. n.).

KORESPONDENCYA WIECZORÓW RODZINNYCH.

Z Troickosawska pod Kiachtą na pograniczu Chin.

...Muszę Pani wspomnieć choć w krótkości o pięknym czynie tutejszych Buryatów *). Za Bajkałem jest ich 400,000, dzielą się na siedm okręgów, a te na tak zwane rody. Najwyższy rządca okręgu nazywa się *Tajsza*, (po rosyjsku: starszy rodonaczalnik). Otóż jeden z takich tajszów podał innym myśl, aby na uczenie koronacyi Najjaśniejszego Pana Buryaci zebrali 400,000 rubli na rzecz syberyjskiego uniwersytetu w Tomsku i już cztery okręgi tutejsze zgodziły się na to. Teraz odniesiono się do okręgów Nerczyńskich. Nieprawdaż, że to piękna myśl człowieka, który sam żadnej nauki nie ma?

Kapłani ich, Lamy **) przykładowie bardzo powstrzymują lud od złych zwyczajów. Lud ten w ogóle jest trzeźwy i pracowity, lecz przy obchodzie Święta Nowego Roku, które u nich rozpoczyna się na początku Lutego i trwa przez cały miesiąc, zwykle Buryaci weselą się, uczują a zatem i dużo piją. Teraz od czterech lat z rządu jest tu nieurodzaj. Otóż przed Nowym Rokiem Lamy zwykle modlą się, a potem wyczytują niby z boskich ksiąg, czy bogowie pozwalają pić wiele w te święta i odpowiedź po większej części wypada zabraniająca. Tym sposobem powstrzymują lud od pijatyki. Buryaci święcie słuchają swoich kapłanów. Jakiżby ten lud był dobry, gdyby światło wiary chrześcijańskiej tam przeniknęło!

Smutno to bardzo, że u nas w kraju właściciele lasów tak je niszczą wycinaniem, o czém tu z dzienników się dowiadujemy. Toż przecież największe kraju naszego bogactwo, a tak je nieopatrznie marnują! Coż będzie z przyszłym pokoleniem? Wielkiego w tém doznałem rozczarowania. Myślałem, że to tu tylko lud nieoświecony tak czyni, a temu niema się co dziwić; tymczasem i ludzie wyżej wykształceni taki uszczerbek robią sami dla siebie. Wielka to szkoda!

Władysław R.

Dziękuję za odpowiedź i przyjemność, jaką mi sprawiło wydrukowanie mego listu. A Władzio i mama zażartowali ze mnie, mówiąc, iż jest w Pisemku, że gdybym list ładniej napisał, toby go Pani wydrukowała. Ale gdy mama zaczęła czytać,

*) Jest to plemię mongolskie, zamieszkujące głównie nad jeziorem Bajkał. Lud to nawpół koczowniczy.

**) Buryaci wyznają religią Budy, rozpowszechnioną w Indyach, Chinach Japonii.

(Przyp. Red.)

poznałem, że to mój list własny. Teraz muszę się pochwalić, że odgadłem zagadkę historyczną z N-ru 52-go, któryśmy otrzymali już po upływie terminu oznaczonego na odgadnięcie zagadki. Gdyśmy ją czytali, Władys zgadł odrazu i udzielił mi niektórych szczegółów, dopiero potem i ja odgadłem, że to jest Witold.

Nie będę o tém obszerniej pisał, aby nie nudzić Pani, a natomiast napiszę o Buryatach, a także o wiejskim ludzie tutejszym, któremu przypatrzyłem się jadąc do wód Jemarowskich. Buryaci szczególnie są pracowici i zadziwiają swoją pilnością i starannością około robót rolnych. I tak naprzykład: ażeby pola i łąki uchronić od posuchy, przekopują wąskie rowy w niewielkiej od siebie odległości na polach, i nieraz z dalekich i wysokich gór te rowy prowadzą w doliny. U włościan tutejszych, kozaków, nigdzie nie widzieliśmy podobnego urządzenia.

Żał mi ich tylko, że nie umieją zrozumieć wygody w mieszkaniu. Wielu z nich mieszka już w domach porządnym, ale niektórzy mają tylko na lato niedaleko od swoich pól drewniane domki, a na zimę przenoszą się do jurt, (namiotów). Ci jednak, którzy mieszkają po wsiach, porządnie je zabudowują.

Co jest jednak dziwne, to rażąca różnica pomiędzy włościanami, tak zwanymi *Siemiejskimi* *) a kozakami. Pierwsi są zamożni, mają ładne domy i zwykle je tak budują, że są rozdzielone sienią na dwie połowy. W każdej takiej połowie domu są dwie duże izby, a połowa paradniejsza jest nieźle umeblowana, Drzwi i okna często ozdobione są jaskrawymi malowidłami. Takie przyozdobienie kosztuje kilkadziesiąt rubli. Czystość tam jest wzorowa, gospodarstwo duże i starannie utrzymane.

U kozaków zaś domy małe, zaledwie o dwóch izbach, brudne, nieporządne, innych budynków około domu albo niema wcale, albo porozwalane. Ogrodów mało zasiewają, tak że jadąc przez wieś zdaleka można odróżnić domy siemiejskich włościanów i kozaków. Dużo jest wsi zamieszkałych przez jednych i drugich. Na polach uprawianych widać także tę różnicę.

W zeszłym roku widziałem tu aż dwa zjawiska niebieskie. Najpierw kometę. Było to we Wrześniu. Same jądro komety małe, ale za to ogromny ogon ciągnął się półkolem. Drugim zjawiskiem była zorza północna, widziana w Październiku. Sama zorza ukazywała się w północno-

*) Nazwa ta oznacza sektę, do której należą.

zachodniej stronie, a dwie tęcze i słupy były w stronie północno-wschodniej. Widok to był bardzo ładny *).

Kazimierz R.

Lamigłówa metamorfoza (Różia D.).

Do kilku głosek mojego imienia,
Gdy się spółgłoskę na czele dołoży,
Piękne to imię prawie się nie zmienia —
Zmieńmy spółgłoskę — zmieni się w chleb Boży.
Zmieńmy raz drugi: a stanie się rzeczka,
Złączoną z Wisłą, pod jej wód opieką —
Za zmianą trzecią: w przyrząd na kąpiele —
A gdy spółgłoskę dodaną na czele,
Czwarty raz jeszcze zmieni głoska nowa,
Poznacie, czém jest pisząca te słowa.

Lamigłówa zgłoskowa (T. K.).

Z następujących zgłosek: a — brandt — con —
czub — da — do — don — dyn — dzi — e — eu — i — ka —
ni — nel — nu — o — pa — re — rem — ski — ter — ter — ti —
— ta — york — woj — zet — zow — ułożyć 13 wyrazów:
1. Muza. 2. Rzeka w Europie. 3. Urząd w dawniej
Polsce. 4. Miasto w Rosji. 5. Sławny malarz.
6. Kompozytor włoski. 7. Sławny Irlandczyk.
8. Rodzaj broni. 9. Miasto w Anglii. 10. Imię
wschodnie. 11. Wyspa na morzu Śródziemnym.
12. Płyn lotny. 13. Ozdoba ptaka.

Początkowe litery, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko poety polskiego, końcowe zaś, od dołu do góry, tytuł jednego z jego utworów.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 16-go.

Zadania konikowego:

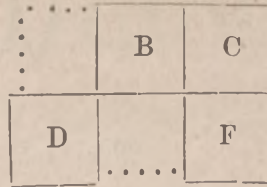
Skądże to, wiejski śpiewaku,
Pod mém oknem twoje głosy?
Jakież cię, miły żebraku,
Aż tu zapędziły losy?

Wysieczono twoje łany,
Gdzieś swobodnie pieśni nucił,
Aż do miasta zabłąkany,
Jakżeś mię bardzo zasmucił!

Z Brodzińskiego (Do konika polnego).

*) Kometą widziana była i u nas w tym samym czasie, ale o zorzy północnej nie słyszeliśmy nigdzie w naszym kraju tej zimy. (Przypisek Redakcyi).

Zadania geometrycznego:



Odpowiedzi od Redakcyi.

Anulce M. w Berdyczowie. Rubelką przysłanego na Szpitalik Dziecinny włożyliśmy do puszki. Przyjemnie nam bardzo, że wszystkie powiastki i opowiadania w Pisemku czytane są z takim zajęciem. Go się tyczy Kazia, który pisuje listy z Warszawy, jest to tajemnica redakcyi, i wydać jej nie możemy. Pięknie to świadczy o umyśle i sercu kochanej naszej korespondentki, że pamięta i o towarzyszkach, udzielając im Pisemka, i o malutkiej wychowawce, która słucha z zajęciem czytania Dodatku, i o sługach, a wybór dla nich Gazety Świątecznej jest bardzo dobry. Oby takich poczytywych pańienek było jaknajwięcej na świecie.

Michasiowi M. w Warszawie. Zadanie konikowe, dobrze bardzo ułożone, zamieścimy chętnie w naszym Pisemku; dziękujemy szczególnie za to, że jest tak porządnie i starannie napisane.

R. B. w Pyzdrach. Rozwiązania, na kartce pocztowej przesłane z tym podpisem, są trafne, ale wolelibyśmy obszerniejszy liścik otrzymać.

Teresi S. w Warszawie. Zadanie konikowe, któreśmy wydrukowali, było wybornie ułożone, a i teraz przysłane lamigłówa są dobre, tylko niedawno właśnie podawaliśmy już jedną ułożoną z tegoż samego imienia, więc troszkę później tę zamieścimy.

Józefie D. Wierszyk chętnie wydrukujemy i to niezadługo, gdyż jest stosowny na obecną porę. Pierwsza ta próbka młodziutkiej poetki bardzo się dobrze przedstawia.

Wandzi i Luni K. w Czabanówce. 3 rs dla rodziny ś. p. Miarki oddaliśmy do rąk właściwych.

Maryni D. Otrzymałyśmy rubla na pomnik Mickiewicza, a drugiego na Osady Rolne, oddane według przeznaczenia. Za miły i serdeczny liścik dziękujemy, a rodzicom zasyłamy piękne ukłony.

Pani J. Ż. w Warszawie. Odpowiedź na list, zawierający 5 rs. na Szpitalik Dziecinny, podaliśmy w N-rze 16-tym. Wcześniej nie mogliśmy odpowiedzieć, ponieważ N-r 15 był już pod prasą, gdy list ten rąk naszych doszedł. Prosimy o cierpliwość wszystkich, którzy się do naszej redakcyi udają, przesyłając kwoty pieniężne na różne cele, lub żądając informacji, gdyż N-r Pisma zawsze na parę dni przed datą wyjścia musi być do druku przygotowany zupełnie i wówczas nie już do niego dodać nie można.

Panu Ciemnołóskiemu w Wobolnikach. W poprzednim liście nazwisko Pańskie tak było niewyraźnie wypisane, że żadnym sposobem nie mogliśmy go odcyfrować, i dla tego przekreślone zostało na adresie pocztowym. Aż nadto często się zdarza, że osoby, nadsyłające prenumeratę, podpisują się w taki sposób, same więc sobie winę przypisać winny, jeśli do adresów wciśną się jakie niedokładności, lub Pismo ich nie dochodzi. W N-rze 6. Pisma odpowiedzieliśmy, że rubel jest do rozporządzenia Pana, gdyż dalsze tomy historii nie wyszły, ale i ta odpowiedź, zawsze z powodu nieczytelnego podpisu, dana była pod literami Ch.

W MAJU.

SŁOWA JASKÓLKI,

Muzyka Dominika St. Pawłowskiego.

Andante.

Grazioso.

Pójdź sio-strzy-czko, rwij-my kwiat-ki Na oł-tarz dla Bo-żój Ma-tki, Prze-bie - gnij-my

ca - ły gaj, Bo to Maj, bo to Maj!

Mówmy do Niój: „Maryo Panno!
„Darz nas pieczę nieustanną;
„Tym, co chorzy, zdrowie daj,
„Bo to Maj, bo to Maj!

„Tym, co płaczom, nieś pociechę,
„Wróć tułaczom swojską strzechę,
„Wszystkim promień szczęścia daj,
„Bo to Maj, bo to Maj!

„Ach! nadzieję daj wątpącym,
„Przebaczenie — żalującym,
„W cierniach kwiecia garstkę daj,
„Bo to Maj, bo to Maj!

Pójdź, siostrzyczko — rwijmy kwiatki
Na ołtarz dla Bożój Matki,
Przeszukajmy cały gaj,
Bo to Maj, bo to Maj!

WIECZORY RODZINNE

DLA MAŁYCH DZIECI.



Mój Piesek.

Ze wszystkich zwierząt pies, to poczciwie i szlachetne stworzenie, żyje w największym zbliżeniu z człowiekiem, rozliczne przynosząc mu pożytki. Pies łowiec, stróż, towarzysz, nawet jako zwierz pociągowy używany bywa. W Wiedniu i innych miastach za granicą można napotkać psy zaprzężone do wózków, rozwozących produkta.

Najpiękniejszym użytkowaniem ich przymiotów było użycie psów na górze Sw. Bernarda w Szwajcaryi do ratowania podróżnych z zasp śniegowych. Jeden z tych psów, imieniem Barry, wstawił się, służąc dwanaście lat przy klasztorze; uratował życie więcej niż czterdziestu osobom *); teraz ta rasa prawdziwych Bernardczyków zaginęła.

Rodzaj psów obejmuje wiele odmian; nieznaną jest ich pierwotna ojczyzna, ani też zwierzę dzikie, od którego mogłyby pochodzić.

Powyradzały się też w ogromną ilość ras tak wielkością, jak kształtem niezmiernie różnych. Stada dziczałych psów znachodzą się w Egipcie, w bujnych stepach południowej Ameryki, dokąd dopiero przez przybyłych Europejczyków początkowo przywiezione zostały.

Mało mi są znane inne odmiany psów, z wyjątkiem pudli, buldogów, chartów, używanych do polowania, ogarów, które za odgłosem trąbki myśliwskiej szukają, gonią po

lasach i kniejach, wydając przeraźliwe piski, gdy dościgają zwierza.

Zdarzało mi się kilka razy być na polowaniu z ogarami, nic w tém osobliwego niema, odgłos gonienia wielce niemiłe wrażenie uczynił na mnie, chociaż psy te znajdują ładnymi, jak również mopsy i szpice. Najwięcej lubię wyżły, psy z rodzaju tak zwanych *poufałych* czyli domowych, które w myślistwie używane są do wyszukiwania i podawania zwierzyny, szczególnie ptactwa dzikiego na błotach, jak bekasów i innych do tej samej rodziny zaliczanych, jak słonki, dubelty i krzyki.

Może tę odmianę psów przekładam nad inne dla tego, że mieliśmy psa wyżła, który od trzech miesięcy nieżyje niestety. Był to roztropny i poczciwy pies, jak rzadko. Będąc w domu przez lat siedem, przywiązał się do nas bardzo i ja nawzajem do niego. Lord nie więcej miał nad parę tygodni, gdy go nam przysłał mój brat, będący w owym czasie jeszcze w zakładzie naukowym. Jak dalece był malutki, dowodzi to jego przyjazd w muście siostry.

Ucieszyłam się jego przybyciem, będąc też sama małą; służył mi do zabawy. A śliczna i miła była to psinka! Biały, z ciemno-brunatnymi uszkami i łatką na boku, nosek i łapki z podspodu miał różowe, jak to zwykle bywa u małych psów. Długo wahano się z wyborem nazwy, wkrótce otrzymał imię Lorda. Wiele z nim było kłopotu, z początku piszczał, będąc bez matki, gdy go kładziono spać, a karmienie także trudość przedstawiało, bo trzeba było go zalewać, ale po kilku tygodniach dał się przyzwyczaić i dobrze wyglądał.

Podrósłszy stał się szkodliwym, szczególnie przy dostawaniu zębów, niepodobna było ani na chwilę zostawić Lordusia w pokoju samego, chwycił i darł, czy to książkę, kajet lub nawet i ubranie, co napotkał. Chcąc go odzwyczaić od czynienia szkody, uradzono na parę tygodni oddać pod opiekę służącego do kuchni. Tak się też stało, że mały Lordus został zabrany z pokoju, lecz nie długo to

*) Historia szczegółowa psa Barry była drukowana w Wieczorach Rodzinnych w r. 1880

rozłączenie trwało; po wielkim mym płaczu przyniesiono go znowu i od tego czasu przebywał zawsze w pokoju.

Z natury obdarzony bystrém pojęciem, rozumiał wszystko, co do niego mówiono. Do polowania bardzo dobry, posiadał przytém wielką czujność, jeżeli kto z obcych zbliżył się do domu, to zawsze oznajmiał nieznanemu szczekaniem. Śmiało można było zostać samą jedną z Lordem w domu, strzegł go nie opuszczając na chwilę. Umiał podawać łapę, otwierać drzwi, lizać ręce, gdy mu kazo. Gdy był głodny, przychodził i siadłszy naprzeciw której osoby, kładł obie łapy na kolanach, patrzył tak pilnie w oczy, jakby chciał oznajmić, że mu się jeść chce.

Pewnego razu przeziębził się Lord i zachorował. Coż to za zmartwienie był! Jęczał jak człowiek, po dniach i nocach, cały tydzień nie mogąc nic prawie jeść, mając gardło, a nawet cały pysk spuchnięty; przy tём dostał reumatyzmu w nodze, tak, że się nie mógł poruszać bez pomocy której z nas. Wszelkie domowe środki przedsięwzięte były dla uleczenia naszego ulubieńca. Po upływie dwóch tygodni, Lordus, ku wielkiemu zadowoleniu wszystkich, wyzdrowiał. Taki się stał łagodny i wdzięczny, że chodził od osoby do osoby, liżąc ręce zdawał się mówić: „wdzięczny wam jestem za okazaną mi troskliwość.” Gdy kto z domowych zachorował, kładł się koło łóżka, pilnując aby nikt nie śmiał wejść, i rzucał się na każdego. Lubili Lorda wszyscy domowi, a nawet i niektórzy znajomi podziwiali jego roztropność.

Lecz nie długo miał nam służyć poczciwy piesek. W czasie zimy, roku zeszłego, zmęczył się, przeziębził, biegnąc koło sanek brata i zachorował. Ciągłe było to lepiej to gorzej, nikt nie mógł odgadnąć, co mu dolegało. Ostatnich dni nic nie jadł, był spuchnięty, tarzał się i grzał koło pieca, widocznie cierpiąc na jakieś wewnętrzne bóle, jęczał biedak, a dawane mu lekarstwo nie pomagało.

Zdawało się jednak, że po upływie tygodnia polepszyło mu się trochę; wyjechaliśmy na wieczorek do sąsiadów. Nazajutrz gdyśmy powrócili, uwiadomił mię brat, że Lordus ma się bardzo źle i pewnie przed wieczorem zginie. Wszedłszy do pokoju, gdzie leżał mój ulubieniec obezwładniony prawie, nie mogłam wstrzymać się od płaczu. On podniósł się nieco, ujrawszy mnie wchodzącą, na pół zgięty, z wzrokiem błędnym, popatrzał gdym mu jeść podała, zwiesił głowę i wy-

szedł do drugiego pokoju, gdzie godzinę przeszło pozostał. Potém, wpadłszy pędem do sali, jak by go nic nie bolało, siadł i zaczął się pienić.

Czy to była wścieklizna, lub gorączka, niewiadomo. Z obawy wypadku, a także dla oszczędzenia mu cierpień, postanowiono go zastrzelić, gdyż wybiegłszy na podwórze zaczął się rzucać. Nikt nie chciał się tego podjąć, wszyscy żalowali Lordusia, wreszcie jeden chłopak, ulegając rozkazowi, ujął strzelbę, i wołał go niby na polowanie, na które zawsze z taką ochotą śpieszył. Lecz tu przecucie widocznie kierowało biednym stworzeniem, pies nie chciał odejść od ganku, aby wbiez za otwarciem drzwi do pokoju. Ciągniony za obrózkę, rzucił się na strzelbę i chłopca, lecz w tejże chwili opadł na ziemię bezwładnie.

Nie mogłam już nawet przez okno patrzeć na tę okropną scenę, zdawało się, że mi serce z bólu pęknie w niemożności zaradzenia temu biednemu i poczciwemu do ostatniej chwili stworzeniu. Nareszcie zmuszony ciąglą groźbą i nawoływaniem, Lordus wybiegł do ogrodu, a dwukrotny wystrzał uwiadomił mnie, że ulubionego i nieodżałowanego pieska nie ujrzę więcej.

K. Gr.

Bańki Mydlane.

Janinka, prześlizne dziecię,
Jak rozkwitły kwiatek w lecie,
Bańki mydlane puszczała,
I z radości w dłoń klaskała,

— Ach, Mateczko moja miła,
Żebyś mi wytłomaczyła,
Czemu ta bańka tak znika,
Jak błędny płomień ognika?

Matce ła w oku zaświeci,
— Wy nie wiecie tego, dzieci,
Że taka bańka tym razem,
Szczęścia ludzkiego obrazem.

Nigdy nie miejcie ochoty
Dla szczęścia poświęcić cnoty,
Bo przyjdzie chwila nieznaną,
Zniknie, jak bańka mydlana!

Ignacy Stopczaiński.

Leniwy Kogucik.

Były to raz trzy koguciki w jednym kurniku i piały porządnie, każdy kilka razy w ciągu nocy, jak to jest obowiązkiem porzą-

dnych kogucików. Aż raz sprzykrzyło się to jednemu najładniejszemu z nich białemu, i powiedział tak do swoich dwóch braci:

— Ciekawa rzecz, poco my też piejemy i piejemy wszyscy trzej? przecież dosyć już jak jeden zapieję, to i tak będą ludzie wiedzieli, która godzina.

— Po to piejemy, że to jest obowiązek kogucików,—odpowiedzieli dwaj inni koguciki.

— A to piecież sobie, jeżeli chcecie, a ja będę spał!—mruknął biały leniuch i przestał pisać w nocy, jak należy.

Pierwszej nocy nikt na to nie zważał, ale drugiej i trzeciej gospodarz pomiarkował, że tylko dwaj koguciki pieją, i wypatrzył, który śpi zamiast pisać. I pomyślał gospodarz, że biały kogucik musi być chory, skoro nie pieje i kazał gospodarz białego kogucika zabić, aby inne koguciki i kury nie zaraziły się także od niego. Więc zabito ślicznego białego kogucika, a to nieszczęście go spotkało za to, że był leniuch.

PRZYGODY KLARUNI.

Opowiadanie przez Natalią Dygasińską.

W jednym ładnym dworze na wsi, gdzie był także duży ogród, piękne jezioro i gęsty jodłowy las, mieszkali rodzice, mający jedyną córkę Klarunię. Ładna to była i dowcipna dziewczynka, ale rozkapryszona i zepsuta pobbłażaniem zbytceznym rodziców, którzy z siedmiorga dziatki, tę jedną tylko zachowawszy przy życiu, nad miarę ją pieścili.

Żywa, ochocza do wszelakich figlów Klarunia, do nauki i zatrudnień właściwych dziewczynce nieprzełamany wstręt okazywała, a pomimo skończonych lat dziesięciu nic prawie nie umiała. Po całych dniach w ulubionym próżniactwie uganiała po lesie i polach na małym koniku, którego sobie wyprosiła u dogadzającego jej we wszystkiem Ojca, albo też po jeziorku, łódką wiosłując, pustowała, albo wreszcie spędzała czas na obmyślanu i wykonywaniu rozmaitych psot wszystkim domownikom.

Nic nie pomagały namowy i uwagi nauczycielek, żadnego nie wywierały wrażenia przykłady rówieczek z sąsiedztwa. Nauczycielek Klarunia słucać wcale nie chciała, z dziewczątkami swojego wieku bawić się ani znajomić nie lubiła. Matka jej, po stracie starszych dzieci, zawsze chora, prawie ciągle pozostawała w łódku, nie mogła zatem sama zajmować się wychowaniem córki, Ojciec na j-

szczęścięj po za domem przebywać był zmuszony. Nauczycielki, nie mogąc dać sobie rady z samowolną dziewczyną, usuwały się co prędzej od ciężkiej odpowiedzialności, a Klarunia wzrastała, niby dzikie drzewko w lesie, bez żadnej tamy w swych nałogach i niestosownych upodobaniach. Dziwactwa jej, niepołamowane rozumną wolą, dawały się we znaki każdemu z domowych, gdyż zbytmi wymaganiami, lub złośliwym prześladowaniem, umiała tak dokuczyć każdemu, że jej nikt nie lubił.

Ten stan rzeczy byłby jeszcze zapewne potrwał długo, gdyby nie przyjazd jednej Cioci, która stanowczo wymogła na rodzicach zmianę w wychowaniu jedynaczki. Zajął się ona bez zwłoki sprowadzeniem doświadczonej ochmistrynii, a gdy ta przybyła, uprzedzono ją z góry o wszystkich trudnościach tego zadania, a potem nieograniczoną władzę nad prowadzeniem i nauką Klaruni w jej ręce złożyono.

Pani Miłoszowa oświadczyła dziewczynce, że odtąd tryb cały życia musi być zmieniony, plan nauk starannie ułożony i punktualnie wykonywany, dawna beczyność i wałęsanie się po kątach, zabawy i figle często niewłaściwe, będą stanowczo zarzucone, a parę godzin przed wieczorem, przeznaczone na wspólną przechadzkę i przyzwoite pod okiem nauczycielki rozrywki, jako nagroda dobrze przebytego dnia uważać się mają.

Pani Miłoszowa, wygłaszając te przepisy, dziwnie stanowczy i spokojny miała wyraz twarzy, zdawała się wcale nie powątpiewać nawet o ich wykonaniu, to też niepodobna było myśleć o jakimkolwiek oporze.

Oprócz tego nie zaniedbała wydać rozkazu co do odprowadzenia na folwark płowego konika Klaruni, jak również sprzątnięcia czółenka z jeziora, aż do dalszego rozporządzenia.

Klarunia, słysząc to wszystko, zadrzała, popatrzała z pod oka na tę nieubłaganą, wysoką postać, na to oblicze, wyrażające silną wolę i pewność siebie, które z taką chłodną surowością z poza zielonych okularów na nią spoglądało — i zadrzała, bo poczuła rozpieszczona dotąd dziewczyna, że żadna z dawnych nauczycielek nie była podobną do pani Miłoszowej, że teraz na nic się nie przydać ani walka żadna, że uledez będzie potrzeba. Wszyscy tak skwapliwie słuchali rozkazów nowęj nauczycielki, Ojciec, Matka usunęli się zupełnie, zdając jej kierunek wszystkiego; Klarunia była opuszczoną. . . .

Przyszło jej wprawdzie do głowy, że bę-

dzie mogła i teraz popróbować dawnego sposobu postawienia na swoim, ukrywając się wśród konarów drzewa, rosnącego nad jeziorem, gdzie niegdyś odnaleziona podawała warunki nauczycielkom, a w razie niezgodzenia się na nie, groziła, że rzuci się z drzewa w głębinę jeziora.

Ale zrozumiała, że taka groźba nie zachwieje postanowienia pani Miłoszowej. Ona by gotowa drzewo kazać ściąć, z wody ją wydobyć a swoje zrobić . . . niema rady. Pani Miłoszowa żartować nie umie, to widoczne, sam dźwięk jej głosu krew mroził w sercu Klaruni.

— Jutro o godzinie ósmej rozpoczniemy lekcye, dziś już jest dość późno, proszę zatem zabierać się do spoczynku—przemówiła pani Miłoszowa, a Klarunia podumała jeszcze chwilę z główką opartą na rękach, wzdychając w myśli za temi łagodnemi, słodkiemi nauczycielkami, jakie dotąd bywały przy niej i które tylko dogadaniem i pieszczotami pragnęły ją ku sobie i ku nauce skłonić. Nie umiała ich cenić, otóż ma teraz! Byłaby dłużej dumiała, lecz surowa ochmistrzyni zaczynała się już rozbierać, nie pozostawało więc i Klaruni jak pójść za jej przykładem.

Całą noc przecież spać nie mogła, gniewając się w duszy na równy i spokojny oddech swój towarzyszki, która bez troski zasypiała. Zaledwie nad ranem usnęła, już znowu rozbudził ją głos niemily.

— Klaruniu, wstawaj, już jest po szóstej, zanim się ubierzesz, pomodlisz, zjesz śniadanie, już będzie czas do lekcyi, proszę więc, pośpiesz się.

Głos to był taki suchy, bezdźwięczny a stanowczy, że Klaruni znów brakło odwagi na jakąkolwiek odpowiedź. Wstała pochmurna, przywołując swój pokojowej Antosi, aby ją ubrała.

— Nie—rzekła pani Miłoszowa—Antosia nie będzie cię ubierała więcej. Młode jak ty dziewczynki same obuwają się, wkładają sukienki, obmywają twarz i ręce. Masz zatem przygotowaną wodę, wyczyszczone buciki, odprasowane sukienki, staraj się obejść bez dalszej pomocy służącej, którą mogłaby tylko choroba usprawiedliwić, a ty, Klaruniu, zupełnie zdrową jesteś.

Klarcia, wysłuchawszy tych słów, miała ochotę wybuchnąć gwałtownym oporem, tupać nogami, rozbijać się o posadzkę, grozić, że sobie co złego zrobi . . . nikt jeszcze nie ośmielił się zabronić jej użycia posługi własnej pokojówki,

trzęsła się cała, ale—zielone okulary tak snorowo i niezachwianie zwrócone były ku niej, że nie miała siły wydać głosu. Te zielone okulary działały na nią w przerażający sposób, obezwładniały ją prawie. Niechętnie i niezręcznie, na co jednak nauczycielka nie zdawała się zwracać uwagi, Klarunia ubrała się nareszcie. Wtedy przypomniano jej o pacierzu, i podano herbatę, po wypiciu której musiała pojsć z panią Miłoszową do szkolnej sali, i zasiąść przy znieawidzonym oddawna stole, nad stosami książek, map geograficznych, wzorów, kajetów itp.

Pani Miłoszowa uczyła ją wielu pięknych rzeczy, opowiadała bardzo ciekawe historie z przeszłości różnych narodów, wskaazywała na kartach lądy, wyspy, morza, objaśniając, gdzie i jakie ludy mieszkają, jakie zwierzęta żyją, jakie rośliny rosną, co bywa w głębiach tej ziemi i tych wód zawarte; a przytém dyktowała prześliczne wierszyki, zadawała zajmujące pytania o rzeczach, w których na pozor nic ciekawego niema, i w każdej innej dziedzinie byłoby się rozbudziło wielkie zajęcie.

(D. c. n.)

SZARADA. (E. J.)

Pierwsza wraz z drugą drzewa nam okrywa,
Co pierwsze trzecie, to niemilem bywa.
Wszystko—w głębi mórz się łowi,
Piękną ozdobę stanowi.

Łamigłówka zgłoskowa (R. Sk.)

Z następujących zgłosek: at—do—dra—dy—i—kól—kus—kra—la—lu—nem—o—o—ga—rod—so—sław—sław—ty—wa—weł—za—ułożyć 9 wyrazów: 1) Imię słowiańskie, 2) Wódz barbarzyński 3) Ptak 4) Władca bajeczny 5) Nazwa zoologiczna 6) Sławny łowiec 7) Rzeka w Europie 8) Imię męskie 9) Imię słowiańskie.

Pierwsze litery, czytane od góry do dołu utworzą przydomek króla polskiego, ostatnie od dołu do góry, imię tegoż króla.

Rozwiązania do Nr. 16-go.

Zagadki:

Admirał. Motyl, z grupy motyli dziennych, mający oczy wielkie, kuliste, różki pałczkowate ku wierzchowi zgrubiałe, skrzydła karbowane szerokie, górne trzy razy wycięte. *Admirał (Atalanta.)*

Łamigłówki głoskowej:

Nie czyń drugiemu, co tobie niemilo.